Nr. 4 We Lwowie, 16 lutego 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

Pół wieku!

(Ciąg dalszy)

XXII Zjazd łowiecki odbył się w dniach 15 i 16 czerwca 1923 r.

Obrady Walnego zgromadzenia zagaja prezes J. A. hr. Bielski, stwierdzając z zadowoleniem coraz większe zainteresowanie się ogółu myśliwskiego, sprawami łowiectwa.

Następnie wyraża żal szczery, z powodu, że wielu towarzyszy z pod naszego znaku, nieubłagana śmierć nam zabrała. Zmarli mianowicie w ciągu roku zjazdowego: Karol Bodnar, Władysław Burka, Wincenty Byszewski, Emil Gajewski, Jan Imielski, Roman Kamiński, Henryk Karczewski, Michał Kordaszewski, Tadeusz Michałowski, ks. Cyryl Pasiczyński, Dr. Władysław Piaskiewicz, Zygmunt Pietruski, Józef hr. Potocki, Aleksander Sozański, Aleksander Ujejski i Piotr Zbyszewski.

Po oddaniu czci ich pamięci, przez powstanie obecnych z miejsc, podnosi prezes z uznaniem ofiarność członków naszych, z których pocztu jedna trzecia już pośpieszyła z daniną myśliwską na podtrzymanie bytu Towarzystwa.

Wynik kasowy, dzięki tej akcji, jest wprost imponujący. Ale rzecz ważniejsza, że w odruchu tym prócz szczodroty, tkwi też znamienny objaw poczucia się do spełnienia obywatelskiego obowiązku oraz zrozumienie, że odbudowa naszego łowiectwa dokonaną być może jedynie przy materalnem poparciu Wydziału w jego usiłowaniach.

Ideą utworzenia Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń łowieckich, Wydział M. T. Ł. żywo się zajmuje. Komisja, opracowująca w Poznaniu statut rzeczonego Związku, przyjęła sporą ilość punktów z projektu, zredagowanego wzorowo przez wybitnego jurystę Dr. A. Sandera, delegowanego przez M. T. Ł. do współpracy z pomienioną komisją.

W przedmiocie poprawy stosunków łowieckich poczyniono ponownie starania u wojewodów: Gałeckiego, Grabowskiego, Jurystowskiego i Olpińskiego, jako też u prezesów sądów apelacyjnych i u nadprokuratorów w całej Małopolsce. Przy doręczaniu odpowiednio zredagowanych memorjałów, proszono pomienionych o otoczenie tej ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, jak największą opieką.

Otrzymane ze strony dzierżycieli powyższych Władz, zapewnienia przychylnego traktowania desyderatów Towarzystwa, budzą nadzieję rychłej poprawy obecnej sytuacji.

Apel do myśliwych w obronie słonki na jej ciągach

wiosennych i w kwestji dobrowolnego przedłużenia czasu ochrony ptactwa wodnego, nie przebrzmiał bez skutku.

Przedsięwzięto również starania, aby w polskiej ustawie łowieckiej wprowadzony został także czas ochrony dla dzika; nowsze bowiem badania wykazały, że czarny zwierz ten, obok niedającej się zaprzeczyć szkodliwości dla kultury rolnej, wielkie oddaje usługi w ochronie kultury lasowej, mianowicie przez masowe pożeranie poczwarek pasorzytnych owadów, znajdujących się w ziemi i w igliwie. Poza tem przemawiają za ochroną dzika od zagłady, jego wartość aprowizacyjna, a nadewszystko to, że jest on prawdziwą okrasą polowań, ozdobą kniei i wielką stanowi atrakcję, zwłaszcza szablisty odyniec, ze względu na swą imponująco wyzywającą postać, siłę i odwagę, dla myśliwych, pożądających rozkosznych wzruszeń i rycerskiego łupu.

Z ustnego sprawozdania z czynności Wydziału, wygłoszonego przez sekret. Tow. Dra Sandera wynika, że w okresie sprawozdawczym mianowano 32 delegatów i przyjęto do Towarzystwa 326 nowych członków, łącznie więc poczet tychże, przedstawia obecnie liczbę 1202. Posiedzeń Wydziału odbyto 13; spraw protokołowanych załatwiono 1643, kasowych zaś 4275.

Po obszernem i wyczerpującem omówieniu szczegółów administracyjnego znaczenia, dotyczących przeważnie kwestji ściągania od mnogiej liczby członków zaległych wkładek i co do trudności w ustaleniu wysokości wkładek bieżących, podaje jeszcze sprawozdawca do wiadomości W. Z. wynik konferencji, zwołanej przez lwowskie kuratorjum Powiatowej Komisji Ochrony Przyrody. „Na onej konferencji doszliśmy do zgodnego z członkami tej komisji wniosku, że udzielony jej do zaopinjowania rządowy projekt państwowej ustawy łowieckiej, jest płodem poronionym, kryjącym niebezpieczeństwa w kierunku podmiotowym. Wobec tego odnieśliśmy się do Min. Roln., wyrażając zdziwienie, że projekty ustaw łowieckich nie bywają udzielane Towarzystwom, dla kultury łowieckiej specjalnie istniejącym, a tem samem w pierwszym rzędzie powołanym do wypowiedzenia w tych sprawach swojego zdania. — W odpowiedzi na to otrzymaliśmy zapewnienie, że w ankiecie, którą Ministerstwo to w sprawie ustawy łowieckiej zwołać zamierza, pominięci nie będziemy".

Zamknięcie rachunków funduszów Towarzystwa za rok kalendarzowy 1922, zdumiewa zawrotną wysokością cyfr. Wartość marki polskiej w tym czasie jest tak znikomą, że wydatki Towarzystwa, które pokrywano dawniej 13.000 koron — obecnie kosztowały te same pozycje rachunku 19,747.487 Mp., w czem sam tylko druk „Łowca" wynosi 10,562.010 Mp. Z tego powodu skarbnik Towarzystwa St. Pieńczykowski, wnosi imieniem Wydziału, aby wysokość wkładki członków na rok 1923 i 1924 ustanowić w walucie złotowej na złp. 12, wpisowe zaś na 2 złp., co wprowadzi stały miernik przy układaniu preliminarza.

Wniosek ten uchwalono z poprawką członka Romanowskiego, że jednocześnie upoważnia się Wydział do ewentualnego podniesienia wkładki.

Wybory, z racji ustępującego po trzech latach Prezydjum i wylosowania w myśl postanowień statutu członków Wydziału, dokonane zostały przez aklamację, w dotychczasowej obsadzie; natomiast na zastępców członków Wydziału, wybrano ponownie J. Ćwierzewicza, a na miejsce wakujące po Stefanie hr. Badenim i Ludwiku hr. Mycielskim, którzy mandaty swe złożyli, powołano Władysława Danka i St. Kiełczewskiego.

Zgłoszonej „stante sessione" przez Dr. Sandera rezygnacji z godności członka Wydziału, z powodu natury osobistej — a w szczególności zdrowia — po stwierdzeniu w dyskusji zasług jego wobec Towarzystwa, nie przyjęto.

I dobrze, że tak się stało! Komentarz zbyteczny...

Przy punkcie wolnych wniosków przyjęto i przekazano Wydziałowi do rozpatrzenia, rezolucje członków: Władysława Biesiadeckiego, Dr. H. Malsburga i St. Orskiego.

Pierwszy z nich wnosi aby Wydział:

1) poczynił kroki u Władz, by zakazały sprzedawać broń i amunicję osobom, nie posiadającym karty na broń i karty myśliwskiej;

2) aby zajął się ułożeniem regulaminu wzorowego dla myśliwych;

3) aby w przyszłości Walne Zgromadzenia zwoływał na godziny popołudniowe, a to celem umożliwienia uczestniczenia w obradach wielu członkom, zajętym przed południem pracą biurową.

Drugi wnosi, aby M. T. Ł.:

1) prowadziło ewidencję wszystkich istniejących w Małopolsce Towarzystw, Spółek i Klubów myśliwskich, celem wykonywania kontroli nad ich gospodarką. Dalej proponuje powzięcie inicjatywy gwoli utworzenia Związku powyższych stowarzyszeń i przystąpienia tychże do M. T. Ł. — i t. d. i t. d.

2) aby Wydział skłonił tutejsze wyższe uczelnie i Akademję weterynarji do badania zmian patalogicznych u nadsyłanych im przez myśliwych, okazów martwych lub żywych i wydawania swych orzeczeń, celem ogłaszania tychże w „Łowcu".

Trzeci czyni wniosek na zamknięcie polowań na kuropatwy, w całym okręgu stryjskim.

Na tem zakończono obrady Walnego zebrania.

Zawody strzeleckie

W konkursie tegorocznym I-sze nagrody zdobyli:

W strzelaniu pistoletowym — Jan Drohojowski.
„ „ do tarczy stałej — „ „
„ „ przez lunetę — Władysław Rubczyński*).

*) Po rozgrywce z H. Prekiem i Wł. Burzyńskim, którzy mieli także po 20 punktów.

W strzelaniu do ruchomego dzika — Józef Jabłonowski.
„ „ „ dzików w dublecie — Wład. Burzyński.
„ „ „ ruchomego lisa — Wład. Pieniążek.
„ „ jun. do ruch. dzika — Eustachy Barański.
„ „ do krążków (śrutem) — Andrzej Jakubowicz.
„ „ o nagrodę kniei — Stefan Reichard.
„ „ „ „ mistrza — Jan Drohojowski.

C. d. n.

* * *



JAN MARCINKÓW

Rykowisko jelenie w Karpatach

Ciąg dalszy

że zwierzęta, w szczególności leśne, odczuwają naprzód rozmaite kataklizmy, lub zmiany atmosferyczne, tak też i jelenie, wrażliwsze, na tę katastrofalną zimę w wielkiej ilości wywędrowały z wyżyn karpackich na doły, czem tłumaczy się, że zaobserwowano jelenie aż koło Stryja, gdzie przedtem ich nigdy nie spotykano.

Niektóre, pozostały na dołach na zawsze, wiele zaś wróciło w ciągu następnego roku napowrót do swoich dawnych siedzib.

Największą jednak katastrofą dla jeleni w Karpatach, była wojna światowa. Miljonowa armja rosyjska zajęła Karpaty, i na głównych pasmach i szczytach ustawiła swoje pozycje. Przez 9 miesięcy dzień i noc ryczały działa i grzechotały kulomioty — istne piekło. Gdzież mógł się utrzymać jeleń, zwierz płochy, który po rykowisku boi się własnego cienia? W szalonym pośpiechu uciekało wszystko, gdzie oczy niosły.

Część uciekła w więcej zaciszne miejsca, część zaś pędzona strachem, uciekała na doły. Naturalnie, że pewna część w szczególności łanie, padały też od strzałów żołdactwa rosyjskiego.

W maju 1915 roku, po przerwaniu frontu moskiewskiego pod Gorlicami, wycofały się wojska rosyjskie z Karpat, za niemi podążyła armja niemiecka i austrjacka — tak, że w czerwcu 1915 r. nastała cisza w Karpatach, po 9 miesięcznych walkach.

Przepędziwszy cały czas inwazji rosyjskiej w Mizuniu nowym, byłem naocznym świadkiem całej kampanji i ruchu wojsk rosyjskich.

Kiedy już na dobre uspokoiło się, przedsięwziąłem gruntowną lustrację rewirów a w szczególności tych, które były najulubieńszą ostoją jeleni. Niestety, nie spotkałem ani jednego tropu jelenia — poprostu las wyglądał, jakby w nim nigdy go nie było.

Przyszedł czas rykowisk, tak samo, ani śladu jelenia nie było, zdawało się, że już go nigdy nie będzie. W następnym roku, t. j. 1916 i 1917, zaczęły pojedyńcze sztuki napływać, ale słabo.

W roku 1918 w czerwcu, zgłosił swój przyjazd arcyksiążę Leopold Salvator, ażeby z ciekawości oglądnąć spustoszenia wojenne, i odwiedzić miejsca w których przez 20 lat spędził — jak zawsze mówił — swoje najszczęśliwsze chwile życia.

Przybył więc 21 czerwca 1918 r., w towarzystwie swych uroczych córek Małgorzaty i Marji-Antonii, a odwiedziwszy moją skromną siedzibę i oglądnąwszy moją pasiekę, którą zawsze bardzo interesował się — wyruszył ze mną z Nowego Mizunia do Sołotwiny Mizuńskiej. Tam niestety zastał tylko zgliszcza i ruiny z wszelkich pawilonów, domków i schronisk myśliwskich. Z prawdziwym więc bolem serca oglądnąwszy ruiny z naszego 20-letniego dorobku, zadecydował przyjechać w jesieni na rykowisko.

I rzeczywiście, we wrześniu 1918 roku, przybył ze swoją świtą i zabawił od 27 września do 2 października, w którym to czasie ubił 2 14-ki, dr. Czerwiczek 10-ka baron Nadherny 12-ka t. j. razem 4 jelenie, i to był ostatni pobyt arcyksięcia w Karpatach.

W krótkim czasie potem, bo już w listopadzie 1918 r., nastąpiły przewroty polityczne i dalsza zagłada rodu jeleniego w Karpatach. Rozzuchwalone chłopstwo, koloniści i inni samorodni lubownicy cechu myśliwskiego, wyposażywszy się w karabiny wojskowe różnych systemów, których leżało setkami na pozostawionych przez Moskali, oraz austrjackie i niemieckie wojska pozycjach wzdłuż całych Karpat, urządzali sobie całe orgje bez różnicy pory po wszystkich lasach pasma karpackiego i strzelali, co im pod lufę padło.

Straż leśna nie miała czego szukać w lesie, bo spotkanie amatorów polowania oznaczało śmierć. Ten stan trwał wprawdzie nie długo, bo z wiosną 1919 r. wkroczyły wojska polskie i położyły kres tym wojowniczym instynktom i zapędom po lasach, pokonfiskowano masami broń, przeważnie karabiny wojskowe, chociaż jeszcze coś po dziś dzień pozostało i tym sposobem stworzono ostatecznie ład i poniekąd ulgę dla jeleni, ale jak ten stan jeleni wyglądał? „Pożal się Boże“.

Nietylko ta niszczycielska klęska wojenna i przewrót polityczny zdziesiątkowały i rozprószyły na cztery wiatry jelenie, ale na domiar wszystkiego, kolosalny przyrost wilków niszczył przez cały czas od 1914 do 1920 jelenie w straszliwy sposób.

Trzeba bowiem wiedzieć, że największym wrogiem i najwięcej krwiożerczą bestją dla wszelkiej zwierzyny w lesie, szczególnie w Karpatach, był jest i zostanie wilk.

Ten nie kontentuje się tem co schwyci, aby się nażarł, on morduje całemi masami i stadami, co mu popadnie pod zęby i co może dopędzić i złapać, albo goni do upadłego, tak, że zwierzyna, niemogąc już dalej uciekać, staje, lub pada zziajana — a on ją dusi i pędzi

dalej po drugą, trzecią i t. d. zdobycz, jak długo mu służą ochota i siły.

Trzeba sobie uprzytomnić, że od roku 1914 prawie do r. 1920 cała straż leśna prawie bez wyjątku, została powołana pod broń do światowej wojny, a wielu też strażników Rosjanie wywieźli, jako „niebłagonadiożnych“ na Sybir, jak np. Michała Rozniatowskiego, gajowego państwowego z Sołotwiny Mizuńskiej.

O tępieniu wilków niebyło więc przez prawie 7 lat ani mowy tak, że wilki rozmnożyły się w zastraszający sposób. — Licząc, aby tylko 2 parki wilków były w okolicy i każda wydała po 5 wilczków, to w następnym roku byłoby już 12, — a niech z tego stadka będzie tylko po 3 suczki, t. j. 6 i niechaj każda w następnym roku rzuci znowu po 5 młodych to w trzecim roku byłoby już 15 młodych + 12 = 27, w czwartym roku z 27 sztuk liczmy znowu tylko 12 sztuk, i niech rzucą tylko po 5 młodych = 12 × 5 = 60 sztuk + 27 = 87, w piątym roku z 87 sztuk licząc tylko 30 suk i niech rzucą tylko po 4 młodych wilcząt = 30 × 4 = 120 młodych + 87 starych = 207 sztuk.

W szóstym roku 207 sztuk, licząc znów suk tylko 50, które rzucą po 4 młodych = 200 sztuk młodych + 207 starych, razem 407. — Wreszcie w siódmym roku z cyfry 407 wilków niechaj będzie tylko 100 wilczyc, i rzucą po 4 młodych = 400 młodych a 407 starych więc jest już 807 sztuk wilków z 2 par w ciągu 7 lat.

Liczmy, że niech i na wilki padnie epidemja i zniszczy je do połowy t. j. niech zostanie tylko 400 wilków, to można sobie wyobrazić, jakie spustoszenie taka falanga wilków może zdziałać w zwierzostanie jelenim.

Cyfry powyż przytoczone są więcej teoretyczne, bo dociec właściwej prawdy nie łatwo; kto wie, czyby się może i nie zwiększyła, bo wiemy z doświadczenia, że wilczyca może do 9 młodych rzucić. — W końcu pasmo Karpat ciągnie się od Tatr aż po Siedmiogród, jest to obszar wielki, w którym wilki mają pole do popisu i do pomieszczenia się — jednakowoż trzeba wiedzieć, że łania rodzi zwykle 1 cielę, a wilczyca najmniej czworo wilcząt i że wilk znacznie mniej żre, a stokroć więcej morduje.

Z całego więc mego powyższego przedstawiania, można sobie wyrobić pojęcie, jak po wojnie światowej w 1920 r. wyglądał stan jeleni w Karpatach.

Po wojnie nastała inna era, polowanie na jelenie szczególnie w lasach rządowych, wydzierżawili dzielni i hojni w kierunku pielęgnowania i ochrony zwierzyny myśliwi jak hr. Zdzisław Tarnowski, hr. Adam Zamoyski, hr. Jerzy Potocki, Juljusz hr. Bielski i wiele innych.

I rzeczywiście dokazali cudów, bo dziś w rewirach mizuńskich, sołotwińsko-mizuńskich, polanickich i t. d. stan jeleni w tak stosunkowo krótkim czasie dorównuje stanowi przedwojennemu.

Trzeba jednak chcieć i umieć tak polować, jak ci prawdziwi myśliwi polują — oni potrafią przez całe rykowisko mało kiedy strzelbę wziąć do ręki — a nasycać się tylko tym czarownym urokiem, łowów górskich, i strzelać tylko wtedy, gdy zdobycz warta strzału.

To też słusznie nasz kronikarz stary zaznaczył w swym artykule „z Karpat“: „I wielu, wielu łowców powróciło z Karpat bez wieńca jeleniego, nie — że nie mogli go zdobyć, lecz, że chcieli zdobyć tylko trofeum godne polskiego myśliwego“.

To powinno być zasadą i dewizą każdego dzielnego i szlachetnego myśliwego.

Będąc w 1910 r. na międzynarodowej wystawie łowieckiej we Wiedniu, podziwiałem wystawę rogów i małą panoramę łowiecką arcyksięcia Fryderyka, gdzie były rogi kolosalnych rozmiarów i zaczynały się od dwudziestaków w górę. Gdy zapytałem jednego z pilnujących tej wystawy łowca, skąd rogi pochodzą, odpowiedział że z Donauauen — i że tam rośnie plantowana masami trzcina cukrowa, którą jelenie chętnie zjadają, w szczególności wiosną — co przyczynia się w wielkiej mierze do tężyzny rogów, również zaznaczył, że prowadzi się tam formalnie rejestr metrykalny, a jelenia, który nie osiągnął 20 końców w regule nie wolno strzelać.

W Karpatach prowadzić takiej metryki nieda się, ale natomiast mamy do dyspozycji wstrzemięźliwość; tym sposobem można też osiągnąć rozkłady, jak nie dwudziestaków, to dobrych szesnastaków i ośmnastaków. Drugie, co najgłówniejsze, jak najenergiczniej tępić najgorszych bandytów i wrogów rodu jeleniego t. j. wilki. To też wielką cześć i uznanie należy oddać obecnym szczęśliwcom dzierżawy polowań mizuńskich, gdyż nie szczędząc ani trosk ani pieniędzy, potrafili plagę wilków opanować. Dok. nast.



C. C. G.

Ze serca Polesia

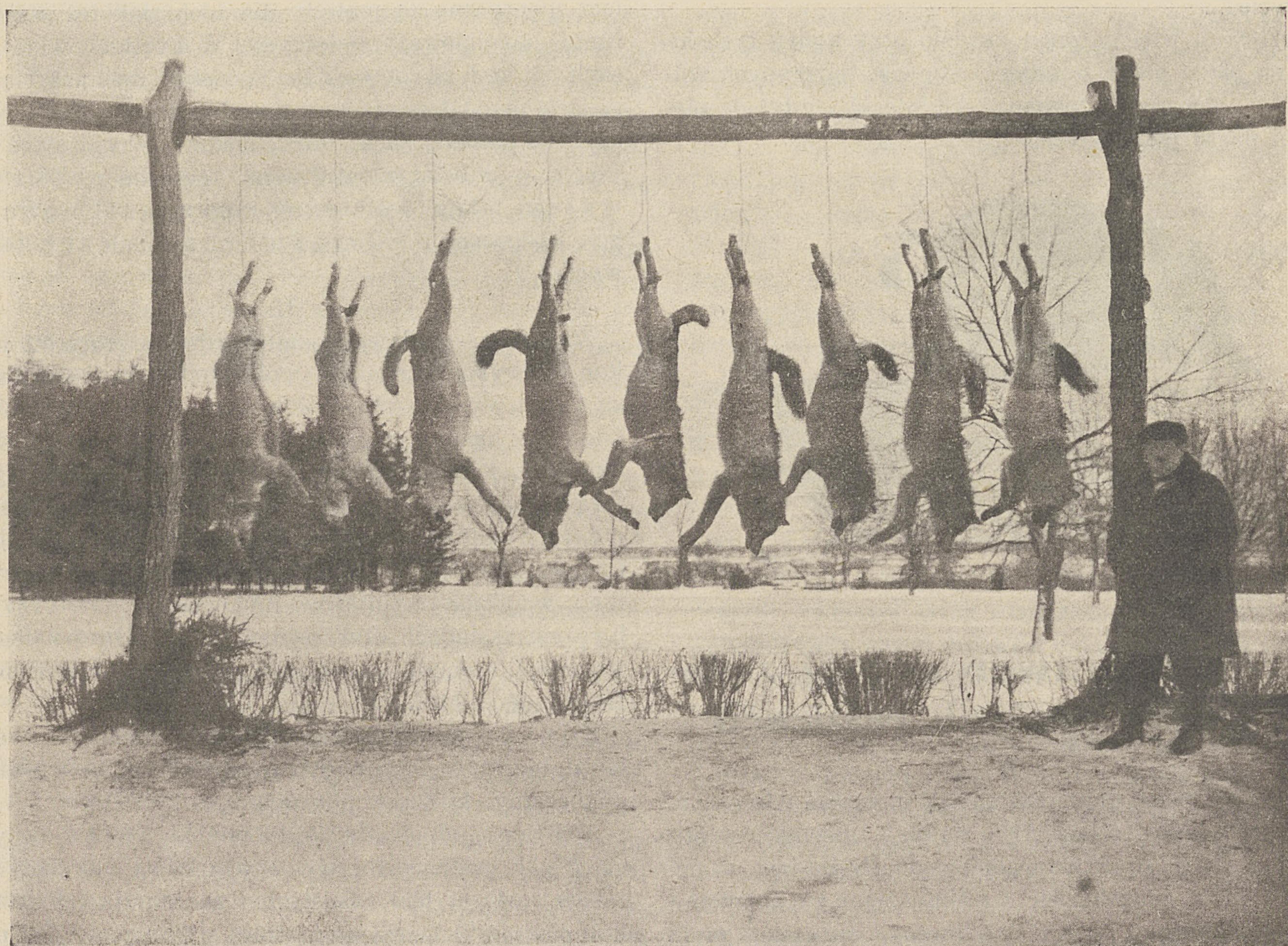
Niezwykłemi obdarzył nas łowy, Poleskich puszcz władca, Książę Ordynat Karol Radziwiłł.

„Wilki i dziki", brzmiało zaproszenie — lecz wilków zjawiło się tyle, żeśmy czarnego zwierza, jako quantité négligeable traktować zechcieli, za ścigłym jedynie ostępów ganiając rabusiem.

I w szczupłem nader gronie ganialiśmy dni cztery, pędząc w dniach czterech, cztery wszystkiego ostępy— jeśliś zdziwiony miły czytelniku, wspomnę odległość ostępu od Mańkiewicz zamku, wspomnę rozległe obszary, gon wilków, a zatem... tak wielce trudną pracę osaczników. A osacznicy Kniazia to mistrze nielada! Nie zaginęły dawne Radziwiłłów łowy i wszystko w dawnej chadza jeszcze chwale!

Najpierw więc przyjazd do kniei lotnemi ze zamku rumaki... przyjazd z daleka, bo nieraz parogodzinna czeka Ciebie droga. W kniei już czerta, podwody i straży książęcej bez liku — wszystko to czeka na łowców w około blasków i dymów dużego ogniska... obraz żywcem wzięty ze starych kronik pożółkłych foljałów, lub z pendzla mistrza Juljana Fałata...

Przychodzi chwila ważnego raportu! — więc osacznicy otaczają Kniazia... i każdy swoich chodów skutki prawi: ten widział wilka, tamten zoczył cztery, inny znów dziczy tylko trop skrzyżował — a że wilk zwierzem, co biega bez końca, że jednej nocy mile całe robi, zanim w ostępie spokojnym oblęgnie, długo kniaź musi słuchać osaczników, długo w swej głowie ważyć losy łowów, zanim ostatnie swe rozkazy wyda.



Wydane wreszcie ostatnie rozkazy, już mkną na sankach z sznurami katuszki, aby nasz ostęp szczelnie w koło zamknąć, zwierzu drogę tylko, w kierunku strzelców zostawiając wolną. — I my za chwilę wsiadamy do sanek, o jednym koniu i dużym kabłąku... i każdy w swoich, pół siedząc, pół leżąc... wpatrzeni w puszczę i wsłuchani w puszczę... mkniemy ścieżyną, jeziorem, czy rzeką...

Po dłuższej jeździe, nasz ostęp — znowu więc rozkaz i... już stanowisko... gorsze lub lepsze, lecz każde, — nadziei pełne a więcej, tak marzeń pełne i czaru... Tu rzucić należy zasłonę! Gdyż wszystko, co łowiec, w marzeniu i życiu przeżywa, stojąc w puszcz ostępie... ni ludzkiem słowem się nie da, ni barwnym, kwiecistym poezji nakreślić obrazem — a zresztą co dzieje się w duszy... to zostać powinno, między mną łowcem, a moim... najświętszym łowiectwa patronem...

Gdy czerta na linji myśliwych już koniec gonu oznajmi, gdy Księciu na chwałę Radziwiłłowskie pod niebo pieśń puszczy zagrają już rogi, znów sanie i jazda, gdzie czeka służba z myśliwskiem posiłkiem...

A późno o zmroku stajemy w Mańkiewickim zamku...

Dzięki Ci Kniaziu za wszystko! Dzięki za przeżycia, co w duszę rylcem się wryły, w sercu będą wieczne! Dzięki Ci święty Patronie, co takich łowców wytwarzasz, co takie stwarzasz ostępy!... Dzięki za wszystkie przeżycia!...

Z czterech więc ostępów zawisło przy końcu tych łowów na placu przed zamkiem, dziewięć ogromnych wilczysków — a mogło zawisnąć ich więcej... gdyż do piętnastu nasze padły strzały...



ADAM RZEWUSKI

Osiedlenie czworonożnej zwierzyny w pustych rewirach

I.

Ponieważ przez długi szereg lat w swych wierszchowieńskich majętnościach (Ukraina, obecnie niestety sowiecka!), praktykowałem podobne zabiegi — pozwalam sobie podzielić się z najmilszymi Czytelnikami wiązanką praktycznych metod, natenczas przezemnie zastosowanych. W mych rewirach przedtem należycie oczyszczonych z wilków, po części z lisów i kompletnie z wałęsających się psów, w początkach osiemdziesiątych lat ubiegłego stulecia, stan sarn był „vacat“ — zajęcy bardzo słaby. Daniel i dzik należały do stworzeń z bajki!...

Pamiętam doskonale, jak pewnego letniego wieczoru co za radość sprawiły mi „rożki“ pięknego rogacza, które raptem „wykwitły“ z poza pagórka z „borsuczemi jamami“ — pod którym „czatowałem“ oczekując „zjawy“ z nory, ślicznej biało-pręgowanej główki!... Był to oczywiście sarniak zabłąkany z lasów okolicznych, pierwsza jaskółka na mych terenach ... Notabene, zauważyć można, że jeśli tylko zwierzyna ta ma odpowiednie warunki i spokój należyty — to w kilka lat przyrost jej oraz „emigracja“ z sąsiednich terenów idzie naturalnym, tak szybkim tempem—że bez sztucznego „importowania z osiedleniem“ można doczekać się bardzo pięknych rezultatów!... Najlepszym tego dowodem, była moja Wierszchownia! — Już w początkach 1900-ych lat, etat sarni obliczał się około trzysta głów (na obszarze 5000 hektarów, z których 1200 lasu i zagajeń, — największy masyw 500 ha — reszta drobniejszemi kompleksami.

Byłby niezawodnie znacznie większym, gdyby nie „nadprodukcja“ danieli, która bardzo ujemnie oddziaływała na podniesienie etatu rogaczy.

Prawda, że chociaż sarn u siebie nie „osiedlałem“ — lecz identyczne są metody dla nich, jakoteż wszelkiej innej „sierściowej“ zwierzyny. W krótkich więc zarysach opiszę niezawodne sposoby „rozmnoży“ na terenach przedstawiających dotąd „obraz nędzy i rozpaczy“ — danieli, jeleni, sarn, dzików — sądzę też i zajęcy — chociaż z ostatniemi, tego nie praktykowałem mając dostateczny przyrost naturalny. Rozpocznę o rodzaju i rozmiarach terenowych.

II.

Zając — zadawala się bardzo szczupłemi łowiskami! Zwykłe warunki — pola uprawne — pożądanemi są łączki, woda — najmniejsze chociażby zagajenia leśne — w braku tych ostatnich nawet „remizy“. Kilkudziesięcio morgowe gospodarstwa już się nadają na ową hodowlę — szczególnie, jeśli sąsiednie rewiry są pewne od dwu i czteronożnych kłusowników legalnych i nielegalnych! Stanowi ta okoliczność, rzecz ogromnej wagi dla rezultatów hodowlanych!... Przy dobrych sąsiadach etat rośnie, jak grzyby po deszczu, na oczach niemal! — przy złych — pożal się Boże! — fatygi nie warto!...

Sarny kontentują się, prawie temi samymi warunkami, lecz obszar winien już być znacznie większym, powiedzmy! kilkuset morgowy.

Toż samo, odnośnie i do danieli. Jeleń, oczywiście dzik tembardziej wymagają kilku tysięcy hektarów, więcej błót zarosłych i znaczniejszych leśnych kompleksów!“ Lecz, jak później o tem powiem i na to jest rada!...

Można i na mniejszych łowiskach pozwolić sobie na „luksus“ upiększenia swego „pokotu“ parą, drugą tych szlachetnych, tak rzadkich w niektórych okolicach łowieckich objektów!... W każdym bądź razie pierwszym warunkiem dla pomyślnych rezultatów „osiedlenia“ — jest zawsze „najgruntowniejsze“ wytępienie „szkodników“, ochrona spokoju (powinno być cicho, jak w kościele) szczególnie, podczas wielkiego t. okresu rozmnoży, brak wypasów bydła, jaknajmniejsza ilość dróg przecinających łowisko, zakładanie karmowych półek na wiosnę — paśników w zimie, obsianie rowów i duktów żarnowcem... Jeśli wszystkie podobne „desiderata“ istnieją o wtedy! pewnym być można bajecznych wprost, wyników hodowli i to w szybkości „pospiesznego pociągu“! Co za rozkosz stanowi, dla prawdziwego myśliwego przyrodnika widok tych dawniej „martwych“ obszarów — dziś „rojących się“ od różnolitych stworzeń Bo-

żych!... Gdy się pomyśli tylko, że osiągnąć się da to wszystko li tylko pracą, pracą i jeszcze raz pracą!... no! i pewną umiejętnością też!

Zaiste!... szczęśliwym jest podobny „transformator“ odrodzonych łowisk! Poczuwać się może, poniekąd w roli Pygmaljona! — martwą Galatęę-Przyrodę ożywiającym! Co zaś los do zazdroszczenia nieprawdaż?!...

III.

Otóż, w Wierszchowni sprowadzone były daniele w liczbie 12 sztuk z białocerkiewskich majątków ś. p. hr. Marji Branickiej. Umieszczone zostały w ogrodzeniu z desek calowych — przestrzeni około morga.

Zagroda ta, posiadała wykopany mały stawek z źródła pochodzący, była zalesioną i znajdywała się wośrodku największego 500-set hektarowego lasu.

Dziki, w ilości dwóch pokaźnych macior i dorosłego wycinka nabyte w spalskich łowiskach zainstalowano w 60-cio hektarowej kulturze.

Znajdywało się tam błoto, gęsto łozą zarosłe z przeciekającym strumieniem, teren dziczy był idealny. Cała sztuka polega na tem, żeby doczekać się pierwszego przypłodu koniecznie jeszcze w oparkanieniu. To też, gdy młode pokolenie podrośnie, co bywa już zwykle jesienią, należy wtedy ostrożnie zdjąwszy parę przęseł w nocy i nie płosząc mieszkańców — pozostawić wolne wyjście. Daniele, sarny, jelenie i wszelkiego innego gatunku czworonożna zwierzyna wychylając się spokojnie z niewoli i powracając jeszcze z przyzwyczajenia do swej klatki, będzie zawsze trzymać się tego rejonu, w bardzo niedalekim promieniu. Należy zadawać karmę, oprócz w bliskości będących innych paśników także zawsze i w byłem ogrodzeniu — w którem za dni kilka całą jedną stronę można zdjąć. Postępując według tego systemu, można być pewnym, że prawie wszystkie okazy „umiejscowią“ się jak najlepiej i na zawsze. (O ile wcześnie będą miały należyty spokój). Za kilkanaście lat osiągnięty etat około 500 sztuk danieli w moim tak zwanym rewirze „Żarki“ najlepszym był tego dowodem. Źle czyniłem natenczas, odstrzeliwując z podjazdu rocznie tylko 20—30 kozłów-byków.

Kohorty tego rodu, pozostały albowiem na pociechę chłopów rezunów, którzy w listopadzie 1918 roku wymordowali je do nogi! — no, a później naturalnie mili „towarzysze-komisarze“! — Oprócz tego „nadprodukcja“ fatalnie wpływała na ilość rogaczy-sarn. Sarniak, podobnie, jak zając królika, nie lubi towarzystwa danieli — nie boi się ich wcale, lecz bywa stale objadany przez nie z „rozwożonej“ paszy — gdyż daniel daleko jest odważniejszym. Całą „czeredą“ idzie zwykle „krok w krok“ za furą z pokarmem, oblepia natychmiast paśniki, rzetelnie konsumując wszystko, jedynie marne szczątki tylko pozostawiając biednym sarenkom!... Na tyle bywają śmiałe, że u mnie na „Żarkach“ para okazałych „łopataczy“ danieli tak się obyłyz jednym z gajowych, sławetnym Pawłem Zającem (odpowiednie nazwisko rodowe, dla leśnika prawda?) — że podchodząc na „zew“ jego „z ręki“ brały chleb z sobą! — I to, w nieoparkanionem terenie! Bajeczne!... Małą też satysfakcję stanowił „podjazd“ sztuk na tyle „ucywilizowanych“!... Delicją mógł być li tylko dla fachowych „sontagsjägerów“! Co za komparacja z pięknym rogaczem sarnim! o zwinnych kształtach i iście łowieckiej sylwetce!... Nie radzę więc, w dużej ilości utrzymywać tę „kotletową“ zwierzynę, długiemi ogonami, jako kozy żydowskie od much się opędzającą! Albinosów, śród nich tak częstych tępić bez pardonu, gdyż są jeszcze brzydsze! — Bo, stary, ciemny lub centkowany, rudy ładny „łopatacz“ na tle parku i lasu jako poniekąd „surogat“ jelenia — może być estetycznem nawet zjawiskiem. Dziki i jelenie, potrzebując znaczniejszych obszarów, szeroko rozchodząc się po okolicy, winne być trzymane tak, jak u mnie się praktykowało, w oparkanionych starszych zalesieniach.

Młodszych kultur szkoda na to poświęcać, gdyż kilka nawet okazów zniszczy ją do szczętu w przeciągu jednego sezonu! Rogacze ocierając swe „scypuły“ — „dziki“ — świńskim zwyczajem „wycierając“ swe cielska o drzewka i obłamując gałęzie!... Strumyk, błotka, gęste zarośla są konieczne. Lecz z podobnego „rezerwatu“ w którym odbywa się „kucharski“ odstrzał sztuk przeznaczonych „intra muros“, z podjazdu a nawet podchodu, można na kilka dni przed rocznem walnem polowaniem wypędzić 3—4 egzemplarzy już „extra-muros“ do przylegających „wolnych“ leśnych obszarów! Ma się wtedy, szczególnie z dzikami ogromną satysfakcję i urozmaicenie banalnych łowów, gwoli uciesze zaproszonych przyjaciół i gości!... Ktoś, z myśliwych „zobaczy“ autentycznego dzika — ktoś strzeli i spudłuje — a niejeden i zruluje monstra!...

W okolicach, gdzie zwierz ten, jest niemal „apokaliptycznem“ stworzeniem, radość i animusz wybrańca losu, jest wielki wtedy!... Dla właściciela łowiska stanowić może źródło rozkoszy altruistyczno-hodowalnej!

Nie sztuka zabić kruka! — lecz dzika? gdzie ich na lekarstwo nigdy nie było i niema?! — albo jelenia?... i to, w nędznych laskach i zaroślach!...

IV.

W czasach obecnych wypadnie sprowadzać rogatą i nie rogatą zwierzynę jeszcze niestety z przeróżnych „Thierhandlung‘ów“ czeskich i niemieckich. Jestto względnie dość kosztowna przyjemność. Ma się jednak pewność należytego „opakowania“ w skrzyniach i klatkach przewozowych. Nie wątpię jednak, że niedalekie te czasy — kiedy, dzięki odradzającym się u nas zwierzostanom — fachowem traktowaniu tej „branży“ bogactwa krajowego — wkrótce też będziemy mieli możność sprowadzać do naszych przez kataklizmy dziejowe i brak gospodarki i ustawodawstwa łowieckiego — już nasze polskie okazy z rozmai-

tych terenów, na których się prowadzić zaczyna prawidłowa hodowla! A, że warto się nad tem zastanowić i wczyn wprowadzić, nie ulega najmniejszej wątpliwości!... Ten ogrom zadowolenia które nastąpi wtedy, gdy nie tylko marne szaraki, skromne kuropatewki, a nawet koguty bażancie — lecz i „szlachetna gruba zwierzyna“ padać będzie od strzałów zaproszonych gości — wynagrodzi stokrotnie szczęśliwego hodowcę.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W pustyniach Turkiestanu 1902 r.

(Z życia Azjaty)

Czas jesienny zapowiadał coraz wyraźniej zbliżające się zimna i deszcze. Noce coraz stawały się chłodniejsze, wiatr szarpał płótnami mego namiotu, unosił je i wpadał do niego z niemiłem wyciem. Dera nie wystarczała mi, nie chroniła mnie od zimna i drżałem nieraz jak w febrze. Mając jeszcze długą przed sobą drogę i zadań do spełnienia, porzuciłem stepy i pociągnąłem z mą szczupłą karawaną ku górnemu biegowi Murghabu. Trzeciego dnia podróży weszliśmy w falisty teren prawdziwej dżungli, pokrytej kolczastemi krzewami, głogami i wijącemi się po ziemi i krzewach roślinami, utrudniającemi pochód na każdym kroku. W tej plątaninie niskopiennych zarośli, sterczały gdzie niegdzie, niewysokie, przysadziste drzewa, o gałęziach do ziemi zwieszonych, podobnych z dala do niewielkich, pożółkłych stogów siana.

Według słów K. Ogly, Achmeta i miejscowych mieszkańców tego dzikiego zakątka, okolica ta miała obfitować w zwierzynę.

Niebawem miałem się o tem przekonać na samym wstępie do dżungli. Jeszcze tego samego dnia, zanim ludzie rozbili namiot, a Achmet sporządził posiłek, poszedłem z Kerbelajem do pobliskiej kniei. O podobnej masie ptactwa, jaką tu spotkałem, nie mogłem mieć pojęcia. Zaledwie weszliśmy z tatarem w zarośla, gdy z każdego niemal krzewu, kępy, burzanu, czy to gołego poletka nawet, rwał się obręczkowy bażant, ich para lub sztuk kilka, a nawet całe stadka. Mordowałem w nierozważnej zapalczywości te biedne, głupie ptaszyny, nie przepuszczając ni jednej sztuki, jaka na dobry strzał przedemną się rwała. Tatar przyklaskując mi, dawał mi bezczelnie do zrozumienia, iż tu powodzi mi się lepiej, niż z małemi bekasami na błotach. Czem jednak zagłębiałem się w dżunglę, bażantów mniej napotykałem, zato niekiedy przemknął mi w krzewach jakiś szary lub rudawy grzbiet czworonoga. Nie żałowałem mu mego naboju, ku wielkiej uciesze tatara, który w swej chciwości i żądzy zarobku, z biednego zwierzęcia jeszcze żyjącego. bezlitośnie łupił skórę i brał ją na swe bycze ramiona. Po niedługim czasie zabrakło mi naboi, a mój tatar, obciążony zdobyczą, ledwie dowlókł się do obozowiska.

W celu rozejrzenia się w tej okolicy, dzień następny zużyłem na przeglądzie aułu, pod którym czasowo za-

WŁADYSŁAW GÜRTLER

Ostatnie łowy Batorego

Śmierć króla

(Fragment)

Ciąg dalszy

Uporczywa gorączka wzrasta...

Coraz gorzej, coraz niebezpieczniej król zapada; powtarzają się omdlenia.

Nadzieja na wyzdrowienie znika... Gaśnie w oczach.

Na kilka godzin przed skonem twarz jego ożywia się nieco. W serce wiernego sługi i przyjaciela, Franciszka Wesselina, wstępuje duch... W głębokich, ciemnych jego oczach błyszczy promień otuchy. I twarze przybyłych senatorów: Lwa Sapiehy i biskupa Wojciecha Baranowskiego, rozpogadzają się na chwilę. Jeden tylko Szymon z Lukki, drugi lekarz przyboczny, patrzy ponuro przed siebie...

We wzroku jego widać zwątpienie i rozpacz. A medyk był to sławny.

Całemu otoczeniu zdaje się jednak, że przecież choremu lepiej się robi.

Złudny był to objaw niestety!

Król otwiera oczy, a jasne ich spojrzenie pada na smutne i spłakane twarze. I pełne jest wdzięczności... Wszak pielęgnują go troskliwie i najczulszą otaczają opieką od czasu wyjazdu z Kudzynia, czuwając wiernie dzień i noc u jego łoża.

Patrzy długo gasnącym wzrokiem na lekarza, swego anioła-stróża.

Boleśny uśmiech krasi jego twarz bladą.

Oczy mówią o głebokiem przywiązaniu. Łzy rzęsiste z nich spływają.

Porusza ustami, jakgdyby pragnął przemówić.

Słów jednak nie słychać, zamiast nich cichy szept, raczej szmer, ze skurczonych bólem warg się wydobywa.

Chce podnieść rękę prawą, by błogosławić wierne otoczenie, ale ręka opada bezwładnie na poduszkę.

Naraz twarz staje się tak białą, jak śnieg, na czoło występują krople potu, jak perły, ciało się pręży, palce u rąk szybko się poruszają, jakby przesuwały paciorki różańca, zaczyna się agonja...

W kilka chwil później skonał król na rękach przyjaciół.

Stało się to w piątek, dnia 12 grudnia „po zachodzie słońca, na półzegarzu przed piątą godziną z południa“.

Stefan Batory, jak niegdyś Zygmunt August, szumem borów litewskich ukołysany został do snu wiecznego.

Wspomniany lekarz twierdził stanowczo, że król się

trzymałem się. Niemal u każdego mieszkańca Pekińczyka, lub Turkmena znalazłem przyswojone frankoliny, bażanty, pasące się razem z bydłem i kozami sarny i dżejrany. Jak już wyżej nadmieniłem, tuziemcy nie polują z bronią w ręku na zwierzęta, a łowiąc je w sidła, umiejętnie je oswajają i do swych potrzeb życia nakłaniają, przyczem wykazują wielką cierpliwość, łagodne usposobienie i pewną dobroduszność.

C. d. n.

Sprostowanie. Wkradła się omyłka w ostatnim N-rze „Łowca" „W pustyni Turkiestanu". Drop waży najwyżej 40—43 lub 45 funtów ros. wagi = 16 lub 17 kg, a nie 40—43 kg.



Korespondencje

Parchacz, 20 stycznia 1929.

W czasie od 1. października 1927 do końca roku 1928, na moim terenie łowieckim w Parchaczu i Sielcu, obejmującym około 5000 ha, schwytanych zostało 45 gołębiarzy (astur palumbarius) na pięć łapek klatkowych, samotrzaskowych z żywym gołębiem, jako przynętą. Gdyby łapki klatkowe znalazły u wszystkich właścicieli terenów łowieckich takie zastosowanie, jak na nie zasługują, to najszkodliwszy wróg naszej drobnej zwierzyny stałby się rzadkością.

Jan Madeyski

Dąbrówki, 21 stycznia 1929.

Z łowisk Ordynacji Łańcuckiej

Wypełniając obowiązek delegata na okręg powiatu łańcuckiego, składam relację z tutejszych stosunków łowieckich za rok 1928.

Zwierzynę grubą reprezentują u nas stale: dziki, daniele i sarny. Ponadto od dwu lat, przebywało i cieszyło się całkowitą ochroną, w jednem naszem Leśnictwie kilkanaście jeleni, w tem jeden szóstak, jeden szpiczak, a reszta same łanie; niestety, sąsiad nieczuły na warunki rozmnoży i utrzymania tego króla lasów — powalił szóstaka, tęgiego w dziczyźnie, lecz słabego wieńcem i zachodzi obawa, że jelenie zmienią dotychczasową niedługą ostoję.

Daniele w liczbie kilku sztuk — ostatnie resztki z liczebnej chmary przed wojną — staramy się koniecznie utrzymać, lecz przyrost postępuje bardzo powoli.

---

zaziębił na polowaniu i że wskutek tego umarł. Buccella natomiast dowodził, że prawdziwą przyczyną śmierci była ciężka choroba nerek z komplikacjami. Który z nich miał słuszność, trudno dzisiaj dociec.

Wśród współczesnych byli i tacy, którzy utrzymywali, że Batorego otruto... z namowy Krzysztofa Zborowskiego.

Długi spór obu lekarzy o określenie choroby pozostał nierozstrzygnięty*). Istotna przyczyna zajścia pozostała nieznana i prawdopodobnie nigdy już wyświetlona nie będzie...

Zwłoki króla spoczywały blisko półtora roku w Grodnie. Dopiero w końcu maja 1588 sprowadzono je do Krakowa i pochowano uroczyście na Wawelu.

W księdze wydatków na pogrzeb pomieszczono także elegję nieznanego poety, która mówi:

„In templo plus quam sacerdos,
In republica plus, quam rex,
In feris domandis plus quam leo"...

*) Zarzucali sobie, że niestosowne leczenie stało się powodem śmierci. Znamy pogląd Buccelli na nią z pisma polemicznego, które nosi nagłówek: „Epistola generosi, Domini Georgii Chiacor (pseudonim), secretarii ungari de morbo acobitu serenis, magni Stephanis, regis Poloniae." Szymon z Lukki napisał znowu „Stephani, primi Poloniae regis sanitas, medica, aegritudo, mors." Nissae 1587.

Batory był nie tylko lwem na łowach, był on nim i w boju. Pełen lwiej odwagi, nie lękał się nawet rokoszu...

*

Kochał przyrodę i zwierzynę z całej duszy; dbał o nią, pielęgnował i bronił w potrzebie. On nie urządzał rzezi zwierzyny, jak to robił np. Jagiełło i nie czynił z polowania pustej zabawy, jak to bywało za jego następców... On wniósł do myśliwstwa zasadę rozumu, zasadę prawidłowego odstrzału...

Dozorców nagradzał hojnie, skoro tylko zauważył, że o zwierzęta, ich pieczy powierzone, pilnie się troszczą.

Zbliżał się do zwierzyny z miłością, odczuwając jej smutki i radości i znał ją, jak nikt z jego otoczenia.

Ciekawsze jej okazy odsyłał uczonym do Krakowa, wypchanemi obdarowywał zakłady naukowe, a przedewszystkiem swoją ukochaną akademję w Wilnie. Zupełnie jak Aleksander Macedoński.

Odznaczał się także szczególniejszą pieczołowitością dla zwierząt domowych. Kochał swoje konie, psy i sokoły.

Jak dbał o konie, sprowadzane z Turcji, z Arabji, i Andaluzji, a więc bardzo rasowe, świadczy list, który król pisze w r. 1580 do wielkorządcy zamku krakow-

Z dzikami jest kłopot. Ludność, chociaż sowicie wynagradzana za wszelkie szkody — domaga się pomimo tego natarczywie „wytępienia" tej zwierzyny, która tylko dzięki swojej filozofji praktycznej ocala dotychczasowy żywot.

Stan sarn jest w całem tego słowa znaczeniu kwitnący, przewyższa ilościowo stan przedwojenny i liczymy tu ogółem 900 do 1000 sztuk. Zwierzyna ta, cieszy się szczególnie nadzwyczajną opieką ze strony właściciela majątku.

Dla zwierzyny drobnej był rok ubiegły naogół korzystny. Wprawdzie do połowy czerwca jeszcze ciągło ostrym chłodem, lecz nie było powtarzających się tutaj wylewów, dzięki czemu ocalały marczaki, gniazda bażantów i kuropatw. Te ostatnie, bardzo liczne i wszędzie spotykane przed wojną światową, wyginęły w ciągu jej trwania niemal całkowicie i dopiero teraz, po upływie 3-letniej ochrony, rozmnożyły się wydatnie, że na wszystkich łowiskach, należących do Ordynacji łańcuckiej naliczono około 135 szczęśliwie wywiedzionych stadek, mimo tego z odstrzałem postępowano jeszcze bardzo oględnie.

Niezwykle suchemu latu mamy do zawdzięczenia, że motylica nie przerzedziła zbyt dotkliwie szeregów sarn ani zajęcy.

Doroczny „pamiętnik łowiecki" zamknęliśmy następującemi cyframi: dzików 14, kozłów 30, zajęcy 1,168, lisów 36, kun 2, tchórzów 54, łasic 165, psów 667, kotów 763, bażantów 352, kuropatw 318, przepiórek 5, chruściel 1, dzika gęś 1, dzikich kaczek 231, słonek 21, kszyków 216, dubeltów 3, orzeł przedni 1, jastrzebi 376, wron i srok 3,987, kruków 5. Zwierzyny padłej skutkiem choroby lub akcji drapieżników znaleziono: 351— ogólna suma: 8,767 sztuk.

Kozły strzelano tylko kulą na podjazdach w czasie, kiedy posiadały parostki. 937 zajęcy zastrzelono na 4 polowaniach przy przeciętnym udziale dziesięciu myśliwych.

W ciągu 1928 r. przychwyciła straż łowiecka 62 kłusowników i 15 wnykarzy, odebrała: 45 strzelb, 5 karabinów, 2 floberty, 1 rewolwer, 2 żelaza, 506 wnyków na zające, 20 sideł na sarny, 13 zastrzelonych zajęcy, 4 uduszone w sidłach zające, 20 smużków, 1 suknię sarnią. Strzałowe wynosiło: 4,627 zł, premje za złapanych i ukaranych kłusowników: 1,270 zł.

Cyfr powyższych nie podaję dla samej tylko statystyki. Chodzi o sprawę ważniejszą. Porównując mianowicie efekt działalności ochronnej straży łowieckiej w roku 1928 z rokiem poprzednim 1927, w którym to ostatnim roku przychwycono 37 kłusowników, a odebrano 20 strzelb, 1 karabin i 1 flobert — wnyków nie napotkano z powodu bezśnieżnej zimy, — okazuje się, że na tym samym obszarze, przy tej samej ilości straży, podwoiła się niemal ilość kłusowników w r. 1928, a przeszło dwukrotnie wzrosła ilość odebranej broni palnej, zaś liczba skonfiskowanych wnyków nie dopuszcza wprawdzie porównania, lecz jest bardzo wysoka.

Jest to obraz ponury i groźny. Zdawało się, że nowa ustawa łowiecka, przewidująca daleko ostrzejsze kary, niż ustawa poprzednia położy — jeśli nie kres, to przynajmniej tamę w zakusach na obcą zwierzynę. Niestety fakty wykazują, że strach jest tylko na papierze. A dla-

---

skiego z pola walki, już po wzięciu Wielkich Łuk i umyślnym posłańcem go posyła.

List brzmi:

„Urodzony, wiernie nam miły.

Ażechmy przedtem pisali do wierności Twej, aby te tam konie nasze w dobrem były chowaniu, jednak i teraz powtóre zdało się nam wierność Twą w tym upomnieć, abyś to tym na lepszej miał pieczy.

A przy tym chcemy to mieć po Wierności Twej, abyś to opatrzył, żeby każdy koń pokrowcem, trzema albo czterema był nakryty i dobrze opatrzony na drogę, zwłaszcza, żeby żadnego z nich zimno doledz ani uszkodzić nie mogło.

Inaczej Wierność Twą nie czyń dla łaski naszej.

Dan w obozie pod Newlem" i t. d.

Drobny to rys wprawdzie, ale jakże charakterystyczny dla usposobienia króla. Przedtem już pisał do wielkorządcy i uważa za stosowne przypomnieć mu raz jeszcze swoje konie i polecić je jego opiece. I pamięta o pokrowcach i troska się o to, ażeby koniom zimno nie było.

Do żywych zwierząt, które się chowały w zwierzyńcu zamkowym w Krakowie, odnosił się z najżywszą sympatją, interesując się ich mieszkaniem, karmą, zachowaniem się i zdrowiem. Odwiedzał je często, ilekroć przebywał w Krakowie. A żyły tam lwy, wielbłądy, niedźwiedzie, żubry i jelenie*).

Na utrzymanie zwierzyńca hojnie łożył, bo chciał, by „stworom bożym w komórkach" dobrze było.

Leśnikom, którzy chodzili około zwierzyny w lasach królewskich, dawał hojne poczesne i bogate upominki, wyszczególniając zawsze tych, którzy nie zapominali w czasie śnieżnej i mroźnej zimy o jeleniach, łosiach, turach, a zwłaszcza o żubrach.

Batory był nie tylko wielkim łowcą, ale i gorliwym, przezornym hodowcą. Nic też dziwnego w tem, że pod przemożną opieką takiego myśliwego roiły się lasy królewskie od wszelakiej, grubej zwierzyny i że budziły podziw u sąsiednich monarchów.

Przykład swojego władcy naśladowali możni panowie w prywatnych majętnościach, dzięki czemu wielka sława Polski, także myśliwska, rozbrzmiewała szeroko po świecie.

*

Dok. nast.

*) W roku 1578 złapano z rozkazu Batorego w Białowieskiej Puszczy dwa żubry, z których jednego wysłano do Krakowa, a drugiego do Warszawy, aby zaznajomić ludność ze zwierzem, już wówczas dość rzadkim... Był to pierwszy wypadek wyłapywania żubra dla przesiedlania.

czego tak się dzieje? Ponieważ każdy § każdej ustawy da się wykręcić w kilku dowolnych kierunkach.

Art. 86 ustawy łow. mówi, że do orzekania o czynach karalnych tą ustawą przewidzianych powołane jest starostwo. Komentarz do tego art. powiada atoli, że przestępca niezadowolony z ukarania przez starostę, — może zażądać przekazania sprawy sądowi powiatowemu i wówczas postępowanie zaczyna się na nowo. A że każdy kłusownik celuje sprytem i finezją, więc cóż szkodzi spróbować, czy w innym urzędzie nie pójdzie mu łatwiej i najczęściej odwołuje się do sądu. Więc powtórne wezwania świadków, z których jeden chory, drugi wyjechał, innym razem sam oskarżony nie czuje się na siłach przybyć na rozprawę i tak wlecze się akcja przez długie miesiące, aż w końcu kłusownik z trudnością schwytany — zostaje uwolniony dzięki amnestji, czy innej szczęśliwej dlań okoliczności. Wiem z doświadczenia, że zwłoka w przewodzie sądowym ma w bardzo wielu wypadkach pomyślne następstwa dla oskarżonego już i choćby dlatego, że taki zwyczajny strażnik łowiecki zatraca w pamięci po kilku miesiącach szczegóły ujęcia winnego, miesza zeznania z wypadkiem analogicznej, późniejszej, całkiem innej sprawy, co jednak wpływa zaraz w toku rozprawy na korzyść winnego i na obniżenie lub darowanie mu kary. Dzieje się tak tem więcej, że sądy przeciążone sprawami karnemi nie mogą wcześniej przeprowadzić rozprawy aż w kilka miesięcy po otrzymaniu doniesienia.

Art. 85 ustawy łow. — aczkolwiek sformułowany w najlepszej dla łowiectwa intencji, a usiłujący karę za przestępstwo łowieckie jeszcze powiększyć i wzmocnić, działa w rzeczywistości najczęściej przeciwnie. Art. ten poddaje czyn karalny ew. pod surowszy przepis innych ustaw, aniżeli ustawa łowiecka. A więc kłusownik zastrzelił zająca i w starostwie może być ukarany administracyjnie, co nie obciąża jego dobrej sławy, ani społecznej pozycji. Natomiast karany w sądzie za kradzież — ma już przez wyrok zaplamioną kartę życia, a plama ta może być nawet przeszkodą w jego zajęciu, w uzyskaniu posady i t. p.

To też ze względu na przepis podpadania ew. surowszej karze, zarówno posterunki P. P. czynią zasadniczo doniesienia do sądu, a także władza polityczna żąda oddania sprawy tamże, ilekolwiek razy chodzi o fakt popełnionej lub usiłowanej kradzieży w łowiectwie. Jednakże bezpośredni skutek takiego interpretowania tych surowszych przepisów jest zupełnie inny. Bo kiedy Starostwo musiałoby zastosować w danym wypadku art. 76 i mogło wsadzić kłusownika na 4 tygodnie do klatki, to sąd niema obowiązku a może i niechce zastosowywać kar z ustawy łowieckiej, kieruje się wówczas kodeksem karnym według wartości a przedewszystkiem wchodzi w grę osobiste zapatrywanie sędziego, prowadzącego rozprawę, kłusownik zaś wychodzi z kilkudniowym aresztem, albo całkiem wolny, jeżeli tylko jakaś najmniejsza okoliczność zdoła obniżyć, jasny zresztą, dowód jego winy. Wszak nie każdy sędzia może być myśliwym i zrozumieć wiele przejawów dostępnych tylko myśliwemu.

To też różnica kary w drodze administracyjnej, a kary sądowej, może mieć tylko akademickie znaczenie i to dla ludzi o moralnej wartości, którzy karę odczuwają i rozumią, — ale złodziej — kłusownik woli zawsze krótszy areszt sądowy, stanowiący dlań zasłużony odpoczynek, aniżeli dłuższe odsiadywanie — choćby bardziej honorowej — kary administracyjnej. Dlatego jest niepowetowaną szkodą, że w nowej ustawie łow. znalazł się art. 85, bo dalszym następstwem tego artykułu jest bardzo różny system karania i fakt, że kłusownicy, a co gorzej, dręczyciele zwierzyny, wnykarze — plenią się i mnożą zamiast drżeć przed prawem.

Wnykarstwo jest plagą zataczającą coraz szersze kręgi. Utyskiwanie na coraz słabszy stan drobnej zwierzyny w niektórych okolicach ma jedyny powód w rozgałęzieniu sidlarstwa, o czem nawet sami właściciele łowisk nie wiedzą. Faktem jest, że w gminach, w których nigdy dotąd akcji tej nie zaobserwowano — dziś kwitnie ona na szeroką skalę, a zdarzenia, że jeden strażnik zdejmie jednego dnia 40 i więcej wnyków w swoim obchodzie — są dziś normalnem zjawiskiem.

Ile tych wnyków, czyha na żywot zgłodniałej zimą zwierzyny, czy jest kto w możności obliczyć? Sidła druciane, a co gorzej włosieniowe — te ostatnie bezbarwne i niewidoczne — zastawione są setkami po włościańskich krzakach, w opłotkach, w sadach, nawet w samych wrotach podwórzowych, zwłaszcza, kiedy panuje śnieżyca i zwierz wycieńczony podchodzi pod ludzkie osiedla; wnykarze wiążą również sidła w szczerem polu, do wbitych w ziemię palików, a skonstantowano, że nocą oglądają z latarkami efekt swoich zamiarów, aby wiatr miał czas jeszcze przed nastaniem dnia zawiać śniegiem ich zbrodnicze ślady.

Niedorostki noszą na sprzedaż po miasteczkach powiązane na sznurku kuropatwy, złowione na wnyki pod samą chałupą.

Rozporządzenia wydawane w tym kierunku policji państwowej — są niemal w całości bezowocne. Bo ta policja ma tyle ważnych i spiesznych spraw do wykonania, że przekracza jej możność fizyczną śledzić jeszcze za wnykami. Wszak kto zna barbarzyństwo sideł, ten wie, że wyszukać je i zebrać — to praca niezwykle żmudna, wymagająca cierpliwości, wytężającego trudu i przedewszystkiem znajomości rzeczy. Bo laik przejdzie i nic nie dostrzeże, a człowiek wtajemniczony zdejmie na tej samej przestrzeni kilkadziesiąt wnyków. Zatem akcję zwalczającą mogą skutecznie prowadzić zawodowi strażnicy łowieccy, zapewnieni nagrodą za zdjęcie morderczych kluczek, a następnie pełne kary na tych, którym będzie udowodnione zakładanie sideł. I niema dość surowej kary w stosunku do niewysłowionych męczarń, jakie przechodzi zwierz usidlony. Zmuszony głodem i lodem zbliża się z ufnością ku ludzkim siedzibom, a tu zastaje na przyjęcie stryczek. W jednej chwili ujarzmiony, ciska się na wszystkie strony dla ratowa-

nia wolności i życia, lecz wnyk zacieśnia się tem więcej, wrzyna się w żywe ciało, przecina skórę, dusi, krew pęcznieje i gromadzi się w rozdętych żyłach, oczy zwierza wychodzą z orbit na wierzch, jeszcze kilkadziesiąt szarpnięć, potem śmiertelnych drgawek w strasznym bolu i ofiara wnykarza gotowa. A takich ofiar i przeokropnych tragedyj w mroźną śnieżną noc — jest więcej niż się naogół przypuszcza.

Zatem baczność Myśliwi, bo na nic wszystkie dążenia, jeżeli nie wytępimy tej najstraszniejszej, trudnej do zwalczania, a niszczącej zwierzynę masowo plagi! A dalej musimy faktami przekonywać Władze, że tylko najsurowsze i przykładowo ostre kary potrafią trzymać na wodzy zbrodnicze zapędy niszczycieli polskiej zwierzyny.

Inż. W. Krawczyński
delegat M. T. Ł.

Przystań, 21 stycznia 1929.

W krak. Ilustr. Kurjerze Codziennym Nr. 5 z 5 stycznia 1929 w kronice nieznany korespondent umieścił notatkę pod tytułem: **„Zemsta zranionego dzika"**. „W czasie polowania w Dobrostanach, urządzonego przez magistrat lwowski, biorąca w niem udział pani Ząbecka strzeliła do dzika, który odniósł lekkie zranienie. — Dzik usiadł pod drzewem i zaczął lizać ranę!!! Równocześnie zbliżyła się nagonka, na którą rzucił się zraniony dzik i rozdarł kłem nogę naganiaczowi Horodyskiemu, i przerzucił go przez 3 metrową sosnę. — Naganiacz, padając, doznał wstrząsu mózgu i nie ma nadziei utrzymania go przy życiu, a dzik zbiegł w głąb lasu"*).

Co prawda różne niespodzianki zdarzyć się mogą w łowiectwie, ale o podobnym wypadku jak powyższy, to zdaje się, nikt z myśliwych nie słyszał — zapewne szanowny korespondent nie zna struktury korpusu dzika, któryby mając swobodne ruchy w kręgosłupie, mógł swoje rany wylizywać psim sposobem. Szkoda, że korespondent nie umieścił tej ciekawej i osobliwej fotografji, którąby dała obraz tej arcykomicznej pozycji, siedzącego dzika za drzewem wylizującego swoje rany.

Że czasem zdarzają się niespodzianki nie tylko prawdopodobne, ale prawdziwe, to podzielić się muszę z Szan. Czytelnikami „Łowca" następującym wypadkiem:

Na świąteczny urlop przyjechał do mnie zięć mój porucznik 9 p. ułanów z Trembowli — doskonały myśliwy i precyzyjnie strzelający kulami. Potrzebując rogacza, zaproponowałem Mu, by pojechał na podjazd do rewiru „Kazunin", gdzie widziałem 3 rogacze jeszcze z parostkami, dodając, jeżeli ustrzelisz rogacza w nagrodę otrzymasz parostki. Pojechał i w dwie niespełna godziny wraca ze zdobyczą — spotkawszy bowiem rudel z 7 sztuk i wybrawszy przez lunetę kapitalnego rogacza, strzelił z Mausera na 146 kroków. Rogacz padł — licząc więc kroki, jak daleko strzelał, dochodzi powoli do leżącego rogacza, który momentalnie się zrywa i szarżując, pakuje mu rogi w kożuszek w okolicy brzucha, tak jednak szczęśliwie, że róg trzymając się słabo — pozostał w kożuchu, a porucznik dostrzelił go z rewolweru. Wypadek szczęśliwie dla myśliwego się skończył, a powodem tej szarży, było za niskie umieszczenie kuli z Mausera, tak, że biedny rogacz żyjący, miał jeszcze na tyle siły, że chcąc się zemścić na zabójcy, odważył się na atak.

*) Naganiacz H. otrzymał lekkie ciecie w nogę i cieszy się już zupełnem zdrowiem. *Red.*

Polując na wigilję w terenie gminnym, dzierżawionego przezemnie polowania w kotły — jeden kocioł przecinał w połowie serpentyjnie płynący potoczek „Żabnik", w którego zamarzniętej powierzchni pozostał mały odpar. Gdy koło nagonki wraz z myśliwymi zbliżyło się do tego odparu, porwał samotny kaczor (krzyżówka), celnym strzałem ubity przez mego zięcia. — Osobliwy więc wypadek u nas w zimie podczas 18 stopni mrozu w kotle na zające ustrzelony kaczor.

W lasach Butyńskich z powodu nawalnych śniegów jeszcze nie polowano — mamy zamiar polować w tym tygodniu, o rezultacie, nie mniej o wynikach z okolicznych polowań doniosę Szan. Redakcji.

Radziwski
delegat żółkiewski

Lwów, 26 stycznia 1929.

W dniach 21—23 stycznia b. r. odbyło się polowanie w dobrach Bachórzec hr. Ksawerego Krasickiego w powiecie przemyskim na granicy pow. brzozowskiego a więc w okolicy podgórskiej.

Wobec zawiei śnieżnych i powstałej z tego powodu przerwy w komunikacji kolejowej połowa zaproszonych gości nie przybyła; stawiło się tylko czterech myśliwych z których trzech przyjechało końmi sanną z odległości 80 km.

Polowano więc w 5 strzelb razem z gospodarzem, wolne zaś stanowiska obstawiono łowczymi.

Polowano w lesie i w polu w kotłach.

Rezultat polowania był następujący:

1 żbik, 1 lis, 3 sarny (odstrzelone kozy), 271 zajęcy, 1 jastrząb.

Zważywszy, że polowanie odbyło się w 5 strzelb i okolicy podgórskiej, rezultat polowania uważać należy za doskonały, a stan zwierzyny w dobrach Bachórzec za pierwszorzędny w tamtejszej okolicy, dorównywający zwierzostanowi z okolic Jarosławia. Stan sarn przedstawiał się imponująco; rogaczy naturalnie nie strzelano, a w kotłach widziano po 30 kilka sztuk w rudlach; dlatego też na rachunek otrzymanego odstrzału 40 kóz; padło 3 sztuki.

Polowanie prowadzone było wzorowo, wedle ułożonego systematycznie planu, tak w polu, jak i w lesie, a wspaniały „rozkład" przy końcu ostatniego dnia został otrąbiony przez straż leśną na rogach myśliwskich, przy oświetleniu łuczywami.

Delegat pow. C. Z. P. S. Ł.

Polowanie w Horodeńskiem

Noc zimna, mroźna. Księżyc i gwiazdy świecą, tak iż jasno niemal jak w dzień. Raźnym kłusem mkną bose sanki po dość kopnej drodze. — W szczerem polu spostrzegam rudel sarn, jest ich trzy. Ośmielone ciszą i spokojem tej zimowej nocy oddaliły się kilkaset kroków od lasu i stanęły w pobliżu gościńca, po paru minutach za najbliższym zakrętem gościńca nikną mi z oczu. — Jeszcze kilka zajączków przemyka przed końmi i już więcej żadnego żyjącego stworzenia nie widać. Otulam się mocniej dużem podróżnem futrem a po chwili przesuwają mi się w myśli wrażenia dnia dzisiejszego a więc: gwar i ruch myśliwych zebranych, wyjazd na łowy, stanowiska nad brzegami Czeremoszu, przenikliwy wiatr, zające pomykające i szczęśliwe, że uratowały życie z 45 tego samego gatunku leżących na rozkładzie, a między niemi 3 lisy.

Dwunastu myśliwych wraca podobnie jak ja zmarzniętych, ale wesołych z łęgowego polowania w dolinie Czeremoszu w Załuczu.

Po chwili inny obrazek: rzęsiście oświetlony salon, melodyjne tony walca, cały ten serdeczny i swobodny ton i nastrój gościnnego dworu wiejskiego.

Tymczasem niebo się zachmurzyło, księżyc i gwiazdy znikły, a ja wjechałem na bezludne pola. Jeszcze pół godziny jedziemy mało widocznym śladem wkońcu i ten gubimy. Zboczyliśmy z polnej drogi i jedziemy po polu, w terenie falistym, bez drzew, lub jakichkolwiek innych znaków, któreby wskazać mogły kierunek drogi!

Godzina druga po północy, kilkakrotnie wpadają konie w wydmy śnieżne prawie po szyję. Cisza zupełna, brak tylko wilków dla urozmaicenia tej pamiętnej nocy zimowej.

W płytkich jarach okrążamy kilkakrotnie kępy dzikiej wikliny, jedna kępa do drugiej zupełnie podobna. Okazuje się, że po godzinnej jeździe wróciliśmy w to same miejsce. Błądzimy tak w falistym terenie jeszcze cztery godziny.

Noc ma się już ku końcowi, wreszcie o 6-tej rano wjeżdżamy na utartą drogę i po kwadransie jazdy jestem po raz pierwszy w Targowicy Polnej, własności pana Wiktora Abrahamowicza. Dwie godziny wypoczynku i wraz z innymi myśliwymi staję do apelu.

Ciepło i odwilż przy silnym wichrze.

W 9 strzelb daliśmy w przeciągu dwóch godzin 100 strzałów, ubijając 25 zajęcy.

Było to 18 stycznia w roku 1911-tym!

A życie szło naprzód: tylko trzy lata jeszcze normalnej pracy w warunkach uporządkowanych, o których myśleliśmy, że zawsze trwać będą. Potem przyszły lata ciężkie, brzemienne w ofiary życia, krwi i mienia, lecz ziemie nasze, które ongiś stawiały opór nawałom tatarskim, przetrwały także srogie skutki największej wojny światowej.

Czcigodny gospodarz Targowicy zniszczonej doszczętnie przez wojnę, wraz z uruchomieniem swego gospodarstwa doprowadził też i stan zajęcy swego łowiska do prawdziwego rozkwitu. Dając nam z okazji dorocznych polowań gremjalnych możność obserwowania Jego prac hodowlanych. Także w roku bież. dnia 16 stycznia dał nam sposobność uczestniczenia w łowach przypominających mi w niektórych miotach pod względem ilości zajęcy moje polowania na Węgrzech.

Uprzejmej gościnności Czcigodnego Gospodarza i Jego przezacnej małżonki nie mogę pominąć milczeniem, resztę niech dopowiedzą cyfry.

Pierwszego dnia polowaliśmy w 18 strzelb przy 115 naganki. Rozkład 149 zajęcy.

Drugiego dnia — w którym niestety już nie mogłem wziąść udziału — polowano w kilka strzelb tylko a ubiwszy jeszcze 40 szaraków, przerwano łowy wskutek zadymki śnieżnej.

Razem leżało na rozkładzie 189 szaraków. Co to znaczy, szczególnie w tym nieszczęsnym, bezzajęczym roku, prawdziwy myśliwy ocenić potrafi.

Dr. Michał Moysa Rosochacki.

Wojsławice, w styczniu 1929

Do najważniejszych wydarzeń sezonu myśliwskiego w Sokalszczyźnie należało polowanie w Chorobrowie. Oczekiwano go, jak zawsze, z niecierpliwością. Dom marszałkowstwa Skarbek Kruszewskich słynie z dawna z tradycyjnej, niedzisiejszej już gościnności, a rewir myśliwski chorobrowski znany jest również szeroko ze starannej i racjonalnej gospodarki łowieckiej. Czyż trzeba zresztą wspominać tak dobrze znaną braci św. Huberta czcigodną postać p. marszałka Kruszewskiego, który mimo lat sędziwych, nie ustaje w myśliwskiej gorliwości i codzień go spotkasz w kniei ze strzelbą na ramieniu, a działalność obu synów, jako hodowców i myśliwych może być stawiana za przykład i wzór do naśladowania w dzisiejszych czasach, kiedy tak wiele niepożądanych objawów nęka nasze życie łowieckie.

Tegoroczne polowanie w Chorobrowie oczekiwane niecierpliwie przez myśliwych naszego powiatu, zapowiedziano na dzień 3 i 4 stycznia 1929. Polowaliśmy jednak w warunkach trochę trudnych. Pierwszego dnia przy małym mrozie dął tak silny wiatr ze śniegiem, że wprost oczy zalepiał. Z zamierzonych pięciu kotłów wzięto tylko cztery.. Polowaliśmy w 14 strzelb. Na rozkładzie było 128 zajęcy. W drugim dniu myśliwi stawili się skwapliwie, lecz wiatr był tak przykry, że nagonka wogóle wyjść nie mogła. Odłożono więc ciąg dalszy do dnia następnego. Tym razem św. Hubert był trochę łaskawszym, chociaż kazał w koziołkach zapadać się myśliwym w śnieg po pas i przepuszczać zające bez strzału. Wzięliśmy znowu 4 kotły ze 109 zającami na rozkładzie. Razem w 8 **kotłach** 237 zajęcy.

Bogusław Stamirowski

Nowosiółka w styczniu 1929.

Na polowaniu w Nowosiółce, odbytem u br. Edwarda Błażowskiego w dniach 9 i 10 stycznia, padło 7 dzików, 2 lisy i 16 zajęcy.

S. P.

Lwów, w lutym 1929.

W dniach 25 i 26 stycznia b. r. korzystając z łaskawych zaproszeń, p. Zofji Stankowej i kuratora p. Franciszka Kamieńskiego, polowaliśmy w 22 strzelb w Wiszence koło Janowa, a rezultatem naszych usiłowań były: 3 dziki i 19 zajęcy.

Małą ilość ubitych zajęcy tłumaczy okoliczność, że wobec wielkich mas śniegu, opolowaliśmy w tych dwu dniach zaledwie 8 miotów, a nie należy zapominać, że stan tej zwierzyny był tego roku wogóle słaby, tudzież, że Wiszenka to knieja nie zajęcza, ale głęboka, typowa dzicza.

To też dziki nie zawiodły nas, a to, żeśmy może mieli rzadszą sposobność składania się do strzału, wynagradzały: bardzo dobra organizacja polowania, niezawodne otropienie dzików w dwu miotach i ład myśliwski w kniei wszędzie przestrzegany.

Ci wreszie, którym danem będzie jeszcze może nieraz znaleść się w pięknej wiszenieckiej kniei, są o jej przyszłość i piękny rozwój spokojni, skoro jej młodociany właściciel, p. J. Stanek, w tym roku służbę wojskową w dalekim garnizonie odbywający i dlatego na polowaniu osobiście nieobecny, jest już dziś dobrym myśliwym i będzie z pewnością dbałym o zwierzynę jej hodowcą.

A. Sander

Z bibljografji łowieckiej

„Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie?"

Taki to piękny tytuł, owiany urokiem poezji, nosi organ łowiectwa wileńskiego, wychodzący regularnie od roku we Wilnie z końcem każdego miesiąca jako bezpłatny dodatek do „Słowa". Dodatek ten, zawierający narazie wprawdzie tylko jedną stronicę „Słowa", gdyż redakcja więcej miejsca bezpłatnie nie udziela — ogniskuje przecie w swej treści całokształt spraw łowieckich kresów północno-wschodnich. Jakkolwiek Komitet Redakcyjny stanowią: Bolesław Świętorzecki, dr. Cz. Koneczny, Włodzimierz Korsak i Michał Pawlikowski, to faktycznym redaktorem tego dodatku jego „spiritus movens" jest ostatni p. M. Pawlikowski, radca województwa. Dodatek grudniowy wyszedł jako numer noworoczny, ozdobny, z ilustracjami, wydany kosztem istniejącego od roku Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego, którego prezesem jest wspomniany p. R. Świętorzecki. Treść numeru jest następująca: W pierwszą rocznicę. — Wiersz Seweryna Odyńca: „Chciałbym z panią być kiedyś gdzieś na wielkich łowach". K. Korkozowicz: Korespondencja z Woropajewa. — St. Modzelewski: Baczność, panowie delegaci łowieccy! — M. K. Pawlikowski: Ku północnej rubieży. — St. Wańkowicz: Zając. — Wit. Grabski: O ponowie. — Z Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego. — M. P.: 500-ny numer „Łowca Polskiego". — Łowiectwo na zjeździe starostów. — M. P.: Dział prawny. — Kronika myśliwska. — Wieści ze świata łowieckiego. — Ze świata: 25,000 dolarów za dobry pomysł. Przyjaciele króla Jerzego. Samolot olbrzym. — Ogłoszenia. Numer zdobią cztery ryciny i trzy winietki. Nowemu kresowemu organowi życzyć należy wytrwania w potrzebnej i pożytecznej pracy, oraz rozwoju i rychłego zarejestrowania, jako samoistnego miesięcznika łowieckiego.

Szczęść Boże w pracy!

Józef Wł. Kobylański

Komunikaty

ZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE

członków Lwowskiej Spółdzielni Myśliwskiej Sp. z ogr. odp. we Lwowie, przy ul. Lindego l. 9, odbędzie się w dniu 9 marca b. r. o godzinie 5 popoł. w lokalu Małopolskiego Tow. Łowieckiego we Lwowie, ul. Ossolińskich 11 z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie Presesa;
2. Odczytanie protokołu z drugiego Walnego Zgromadzenia;
3. Sprawozdanie Zarządu wraz z przedłożeniem bilansu na rok 1928;
4. Wniosek na udzielenie Radzie Nadzorczej i Zarządowi absolutorjum;
5. Wniosek Rady Nadzorczej co do podziału zysków za rok 1928;
6. Wniosek na podwyższenie marki prezencyjnej dla Rady Nadzorczej;
7. Wolne wnioski.

W razie braku wymaganego paragrafem 33 statutu Spółdzielni kompletu członków, odbędzie się tego samego dnia w godzinę później, drugie Walne Zgromadzenie członków, z tym samym porządkiem dziennym, którego uchwały będą już jednak prawomocne bez względu na ilość obecnych członków.

Zarząd.

We Lwowie, dnia 5 lutego 1929.

Do PP. Członków
Pierwszego Polskiego Instytutu Łowieckiego
i
Łowieckiego Związku Hodowlowanego

PP. Członkowie, życzący nabyć w nadchodzącym sezonie stadka młodych odhodowanych bażantów, proszeni są o nadsyłanie zamówień do dnia 1 marca b. r. pod adresem Zarządu Łowieckiego Związku Hodowlanego Warszawa, Nowy Świat 35. (Lokal Polskiego Towarzystwa Łowieckiego).

PP. Członkowie z Małopolski otrzymają bażanty z własnej bażantarni Związku, znajdującej się w majątku Przewłoka pod Buczaczem.

Łowiecki Związek Hodowlany
Spółdzielnia z ogr. odp.
S. Kamocki

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32